

Feliks Antosiewicz

Zasługi Ottona Knopfa

Otto Knopf, palacz kontrtorpedowca „Rudolf”, odrzucił ciężką łopatę i usiadł na kupie węgla, która, stoczywszy się z bunkru, chłodną swą masą zaległa cały tył kotłowni. Knopf otarł przedramieniem pot ściekający mu z czoła i spojrzął na umieszczoną ponad kotłami manometry. Cztery elektryczne, żarówki dość jasno rozświetlały wnętrze ciasnego pomieszczenia i blask ich matowo odbijał się od dużych szkieł, pokrywających białe tarcze zegarów. Powierzchnie kotłów, wypukłe, gęsto nitami pokryte blachy stalowe, wystawały nad szerokimi paleniskami, jak wydatne brzuchy piwoszców, schodzących się na kufelki pilznera do oberży Starkmana. Tak myślał Otto Knopf, spoglądając na zniekształcone kształty i kojarząc swe zadumy z wspomnieniami życia wśród najbliższych przyjaciół.

— Oszukano mnie, haniebnie oszukano — mruczał cicho, ponurym wzrokiem wodząc po ścianach bunkierluku.

Knopf nie mógł pogodzić się ze swym losem. Na każdym kroku kłął przekłętą przeznaczenie i ciężko zlorczył, obejmując swą zwykłą wachtę w kotłowni.

Bo i jakże? Czy to ma być wojna? Gdy trzy miesiące temu zgłaszał się do biura, przyjmującego ochotnicze zapisy na służbę frontową, ponosił go zapal i chęć służenia ojczyźnie. Pragnął stanąć mężnie w szeregu walczących i iść krokiem zwycięskim poprzez ziemię wroga, ramie przy ramieniu z towarzyszymi broni, zdobywać zniekształcone sztandary Francuzów i jaknajofiarniej przy czynić się do wależnej wiktoryi ojczyźnego oręża. W wyobraźni wrowały mu obrazy bohaterskich ataków na francuskie pozycje, niosące śmierć, świszczące szrapnele i granaty, obracające w perzynę okopy, wypelnione błękitnym tłumem żołnierzy. I gdzieś się podzieliły te cudowne wizje, gdzieś uleciało wprowadzenie w czyn jego bitnych marzeń?

Trzy miesiące temu, na komisji lekarskiej, określającej fizyczny stan nowozaczących, gruby kapitan - lekarz zapytał go o zawód cywilny:

— Jestem palaczem w fabryce — odparł wówczas Knopf, przeżąc wydatne mięśnie. — Palę pod kotłami...

Kapitan kazał mu obrócić się dookoła i zagnał pochylili się ku siedzącemu za stołem oficerowi marynarki wojennej.

— Przyjmie pan go? Wydaje się mocny, a prztem jest fachowcem. I lat ma 38...

Zanim Knopf zdołał zorientować się w sytuacji, na kwestionariuszu jego padł duży, czerwony stempel. Kazano mu się ubrać i jeszcze tego samego dnia wyprawiono do Kielu. Nie było czasu na molestowanie i prośby.

— Nie będę biegał z karabinem w rękę naprzeciw wroga, nie będę mroził granatów, nie zdobę wrogiemu sztandaru — myślał Otto Knopf, przemyślając marynarskie hajdaway. A gdy po raz pierwszy zszedł do kotłowni, momentalnie przypomniała mu się fabryka.

— Oszukano mnie — płakał niemal — ja mam tu wojować? Gdzie miejsce na bohaterskie wysiłki bojowy, z łopatą węgla znalęm się i wtedy, gdy nie było wojny, może lepiej było zostać w domu, robiłbym to samo, a byłoby bezpieczniej...

Kwestja wątpliwej bezpieczeństwa poczęła u Knopfa odgrywać ważną rolę od chwili, gdy dowiedział się o smutnym końcu pancernika „Berlin”. Pancernik, otrzymawszy torpedowy strzał w maszynę, poszedł szybko na dno, a zgineła wówczas cała załoga. Utopili się wszyscy palacze — opowiadał w kubryku bosman, i Knopf z przerażeniem myślał o dużym prawdopodobieństwie możliwości takiego samego rozstania się z życiem. Nie, tego rodzaju służenie ojczyźnie nie odpowiadało mu zupełnie. Czuł, że jest jedynie małym pionkiem, poprostu częścią maszyny parowej. Nie miał najmniejszej okazji do wybitcia się, okazania swej odwagi, męstwa.

— Nie mam szczęśliwego przeznaczenia — powiedział sobie w

końcu po zreasumowaniu wydarzeń ostatnich dni. — I haniebnie mnie oszukano...

Znienawidził okręt, życie marynarskie i pokładowych kolegów. — Siedzą sobie te franty — mówił o tych ostatnich — na pokładzie i walą z armat, aż miło. Gdy im się uda zestrzelić coś większego, dostają żelazne krzyże. A ja co?

Trapił go wyraźny brak sprawiedliwości. Przed każdą potyczką zstępował do piekielnej czeluści maszyn sam komandor von Adlers, dowódca okrętu, i przemawiał do palaczy i maszynistów, w gorących słowach, podnosząc wagę i doniosłość ich pracy.

— Dzięki wam posuwamy się naprzód — ryczał, usiłując przekrzywić hałas sapiących maszyn — dzięki wam możemy ścigać wroga i unieszkodliwiać go! To wy wygracie bitwy wy z nami potem palacze wojennego okrętu!

O tem, że po każdej wizycie w kotłowni komandor von Adlers brał kąpiel i zmieniał bieliznę, Otto Knopf nie miał najmniejszego pojęcia. myślał tylko często nad tem, dlaczego to nie palacze, zwyciężcy w bitwach, lecz oficerowie i marynarze pokładowi, zbierający przy każdorazowym pojawieniu się w porcie chlubne odznaczenia.

— To nie jest „klar” — powiedział kiedyś do swego kolegi. Wszystkich nas nabijają tu w butelę.

Kontrtorpedowiec „Rudolf”, jak każda inna, wąsko skonstruowana jednostka, dość silnie chybotał się na boki i Otto Knopf, pochylony nad rozbijaną młotem bryłą węgla, doznał uczucia mdłości.

— Jeszcze to na mnie spada — pomyślał z rozpaczą. Och, jakie straszne jest morze! Próbował ułożyć się na płytach podłogi, lecz kołysanie statku uniemożliwiał mu pozostawanie w nieruchomej pozycji. Mocniejszy przechył obrywał w bunkrze strumą górę węgla i Knopf zerwał się z przera-

żeniem. Z otworu lukowego potoczyło mu się pod nogi kilka czarnych głazów, przed którymi musiał szukać schronienia w korytarzyku, wodzącym do maszynowni.

— Tego brakowało, aby mi tu nogi zmiadziły — syknął nienawistnie i, wyszedłszy po chwili z bezpiecznej zasłony, poczęł ostrożnie odgarniać na bok zwalę paliwa. W gardle drapało go od nieustannie polykanego, czarnego pyłu, ciało spływało potem, a żołądek zdawał się przewracać na wszystkie strony. W momencie, gdy Knopf podszedł do rogu kotłowni, aby wejść z nim w porozumienie, otworzyły się drzwi maszynowni i stanął w nich komendant.

— Chłopcy — zawołał do czterech palaczy — za kilka chwil na sze działa posła wrogowi śmiertelne pociski. Spełnijmy swój obowiązek! Nie zapomnijcie, że wszyscy jesteście szarymi żołnierzami, walczącymi o wielką sprawę.

Otto nie mógł tej przemowy wysłuchać do końca. Usiłując stać na baczność, chwiał się na wszystkie strony, a czoło zalewał mu zimny pot. Akurat, gdy usłyszał aforizm o szarych żołnierzach, żołądek podniósł zdecydowany bunt i pan von Adlers szybko wycofał się z kotłowni.

— Strasznie jest tam, na dole — mówił później do swego pomocnika, stojąc na wyniosłości mostku i wdychając świeże powietrze. Palacze chorują, zażygują ściany... Smary wydają taką wstrętą woń, i co za żar!

A Otto Knopf, blady i zmęczony, otarł ręką usta, poczem usiadł na twardych zwalach i podniósł wzrok na manometry.

Koleczy krzątali się koło swych palenisk i przesyłali Ottonowi życzenia, współczując spojrzeń. Jeden z nich podszedł doń i położył mu rękę na ramieniu.

— Chodź, bracie, to przykre, ja rozumiem. Sam tego żygałem, jak pierwszy raz wyszedłem na morze. I długo się mnie to paskudstwo trzymało, długo. Ale

się nie przejmuj, Otto. Odpocznij sobie. Podrzucę za ciebie, bo widzę, że ciśnienie spada. A słyszałem, że Anglik blisko...

Knopf pochylał głowę, a palacz ujął łopatę, okręcił zawór wentylatora, wpędzającego żar pieca do wnętrza paleniska i otworzył drzwiczki. Masywną jego sylwetkę zalała krwawa łuna ognia. Sprężyscie pochylał się, zagarniając łopatą węgiel, potem szerokim zamachem wrzucał jej zawartość do zięjącego blaskiem prostokątnego otworu.

Knopf patrzył na niego z dzięczynem rozrzwinięciem i drżącymi palcami wydłubywał z kieszeni spodni papierosy.

— Zapal, Kurt — podał mu pudełko. — I dziękuję ci. Jesteś dobry kolega.

Wtem do kotłowni dotarł odległy, przeciągły grzmot. Otto wsłuchał się w ten odgłos. Dziwną zdolnością, pochodzącą może z przyzwyczajenia, wyeliminował z swej świadomości łoskot maszyn, syk pary, szuranie łopat i szczęk żelaza. Ucho jego chwyciło jedynie owe obce, dalekie dźwięki.

I grzmot powtórzył się. Był może nawet głośniejszy.

Kurt również stał zasłuchany. Wytrzeszczył oczy, twarz mu lekko przybladła.

— Zaczęło się — rzekł — zaraz nasi kropną...

Istotnie, niemal w tej samej chwili rozległa się piorunująca salwa z kontrtorpedowca. W maszynowni nieustannie poczęły dzwonić różne dzwonki, światło nieco przygasło, sufit kotłowni rozbrzmiewał tupotem kroków.

Otto nerwowo zaciągał się papierosem.

— Boże, daj zwycięstwo — wyszeptał posiniąłymi wargami. — To okropne...

Wyobraźnia jego, chorobliwie poruszona grozą sytuacji, pracowała gorączkowo, niemal nienormalnie. W górze grzmiały działa, kontrtorpedowiec przechylał się gwałtownie, widocznie lawirował. Salwy wstrząsały nim tak silnie, aż dygotały stalowe płyty.

Bitwa!!

Knopf z wyraźnym przerażeniem wpatrywał się w malowane szarą farbą ściany kotłowni. Kto wie, czy za moment nie rozdarą się one pod uderzeniem pocisku? A może? Wdarłby się słup wody, zalewając rozrżone paleniska, zatapiając wszystko i wszystkich. On. Otto Knopf, palacz fabryczno - okrętowy, lykałby słoną wodę i dusiłby się, tonął...

Przerażenie obejmowało mu czaszkę zimnem, trupiemi palcami. Ukrył twarz w dłoniach, przetarł oczy, rozmasował wszystkie sadze, jakie osiadły na jego policzkach i znowu wycekująco rozjeżdżał się wokoło.

— Z której strony? Przez burtę lewą, czy prawą? Przez górę trysnie wielki strumień przez wyrwę w pokładzie? Może wprost w kotły i wszyscy wylecą w powietrze?

Trzej palacze zbili się w grupkę i nadsłuchiwali. Palili papierosy i bezymyślnie wpatrywali się w kotły.

— Czyż oni nie odczuwają tego samego strachu, co on, Otto Knopf? Dlaczego? Przecież i oni są ludźmi. I im grozi takie samo niebezpieczeństwo...

— Co znaczy to wstrząśnienie?!

Knopf zrywa się na równe nogi, czuje, że podłoga chyli się w prawą stronę, węgiel przesypuje się z łoskotem, a on bieć musi aż pod burtę, gdyż nie znajduje oparcia.

Czyżby trafiono ich? Dlaczego gaśnie światło?! Co znaczy ten hałas na górze? I ten szum? Nigdy go przedtem nie słyszał, to nie maszyna, nie para, to woda, woda, która zalewa maszynownię!!

Otto Knopf stoi, jak sparalizowany, nie może ruszyć się z miejsca, choć instynkt samozachowawczy każe mu biec ku drabinie włazowej, drapać się na górę...

Głośny, bardzo głośny i niedaleki huk. Kontrtorpedowiec chyli się jeszcze bardziej, jednocześnie wzmagając się głuchy szum.

— Co to pluszcze pod drzwiami maszynowni?!

Knopf czuje, że przerażenie

podnosi mu włosy na głowie. Jest zupełnie ciemno, lecz on rzuca się naosłep przed siebie. — W tym kierunku, w odległości dziesięciu kroków musi być wyjście... Potyka się o bryły węgla, szuka rękami oparcia, parzy dlonie o rury z gorącą wodą.

— Jest, jest przejście, znalazł już drabinę, wiodącą na pokład!

Wspina się teraz szybko, wypada z ciemnych czeluści na oślepiający blask dnia. Słyszy, że na dole dzwonią na alarm. Nie wie, co to znaczy, ale... Już się nie wróci. Oto przebiega bosman i krzyczy coś do niego. Otto nie rozumie, gdyż słowa giną w ogólnym tumultie. Marynarze pędzą, jak szaleni na górne pokłady, ślizgają się po czerwonych płytach. Knopf dziwi się. Dlaczego tyle płam czerwonych na decku? Wędruje wzrokiem po nadbudówkach i nagle wszystko zaczyna rozumieć. Gdzie się podziła podstawa mostku? Gdzie działo na rufie? A ten otwór w prawej burcie...

Wszystko stało się tak szybko, że Knopf nawet nie może przypomnieć sobie szczegółów. Szczeliwy jest, że udało mu się uciepić szczątków szalupy i nie pracować już ramionami. Bola go mięśnie barkowe. Pływał tak długo... Ale rozpiera go duma. Jest przecież zwycięzcą! Żyje i nie do stał się do niewoli. „Rudolf” zniknął wprawdzie w morskiej toni, lecz on, Otto Knopf, żyje!

— Czy nie przyjeżdża jakiś statek? Przecież nie można ciągle moczyć się w wodzie.

Knopf wydrapuje się na kupę drewnianych desek, z kształtów przypominających dziób morskiej szalupy. Utrzymuje się na tem jakotako. Przykłada dłoń do czoła i lustruje morze.

— Nie! Nie widać statku. Nie widać nic. Widnokrąg jest pusty... Tylko... co to jest?

Knopf spogląda na ciemny punkcik, niezbyt odległy, powoli sunący po powierzchni.

— Ludzka głowa! Ktoś płynie ku niemu... Zapewne będzie chciał, aby Knopf udzielił mu miejsca, a deski nie wytrzymają ciężaru dwóch ludzi...

— ...Jestem przecież twoim komendantem!

— Jesteś durniem, jeżeli myślisz, że dla ciebie zechcę się utopić...

— Daj mi się przynajmniej przytrzymać krawędzi. Słabnę...

— Próbowałeś się trzymać i przekonałeś się, że mnie zatapia. Deski nie uniosą nas obu, panie von Adlers.

— Potworze, potworze...

— Chcesz oberwać po łbie?... Otto Knopf wyrwa kawał drzewa i wali nim po palcach, wczepionych w krawędź jego zbawienia.

— Pod sąd pójdziesz, lotrze! Każe cię rozstrzelać!

Knopf z wściekłością podnosi ramię i w formie odpowiedzi wymierza w łysą czaszkę kilka mocnych razów. Komandor von Adlers znika pod wodą, rumowisko drewna o kilka centymetrów unosi się w górę.

W kilka godzin później dostrzeżono go z przepływającego opodal pancernika „Leipzig”. Otto Knopf, wyczerpany do ostatnich granic, zziębnięty, wygłodniały, został wywindowany na pokład. Opatrzono mu oparzenia na dłoniach, nakarmiono i, gdy ułożył się w wygodnym łóżku lazaretu, odwiedził go komendant. Otto słabym głosem złożył mu służbowy meldunek i opowiedział o przebiegu walki. Komendant podał mu rękę.

— Jesteście jedynym człowiekiem, który z tej bitwy uszedł z życiem. Ojczyzna ma w was przedstawiciela całej bohaterskiej załogi. Cześć pamięci poległych na polu chwały.

Podniósł dłoń do wyłoczonej czapki, zebrani oficerowie wyprężyli się. W tydzień później Otto Knopf, mążny palacz, otrzymał wysokie odznaczenie. Spełnił się jego marzenia, ale, gdy przyszedł do siebie, gdy otrząsnął się z potwornych wspomnień, nie czuł ani krzty satysfakcji.

I nie był dumny ze swego orderu, pomimo, że zdobył on pierwszeństwo nad wieloma. Podobno nawet wyrzucił go kiedyś...

Jan Bajkowski

Architektura listów zastawnych

Ileokroć idę ulicami miasta i zastanawiam się nad brzydotą całych szeregów kamienie pobawionych wszelkiego wyrazu, trytuje mnie to, że właśnie ten, sprzedający nas okres, aż napętniały z nadmiaru pieniędzy musiał być pozbawiony najprymitywniejszego nawet poczucia smaku. Nie będę się w tej chwili zastanawiał, czy jest to przypadek, czy też nie — konstatuje jedynie fakt i dziwię się skąd i u nas, w kraju nie ciągnącym przecież zysków z całego świata wzięło się aż tyle pieniędzy, ażeby podobować się nie tak szybko i tak brzydkie miasta.

Okazuje się, że niewyczerpana inwencja wieku „postępu” dawała możliwość wydobywania grosza poprostu z niczego. Kto wie, czy najlepszym źródłem nie był właśnie spekulacyjny umysł?

Weźmy na przykład wynalazek listów zastawnych dających duże możliwości budowania na kredyt, a rozumiemy wiele, bodaj, że wszystko. Domy powstawały, jak grzyby po deszczu, tak, że wkrótce groziła począta obawa nadprodukcji. Stąd wypływała konkurencja. Obwieszono kartkami zawiadamiającymi o lokalach do wynajęcia, obrzydliwe kamienice starały się przyciągać przechodniom chwając się swemi wdziałkami. A więc oblepiały się błotem gipsowem łącząc na sobie odpadki wszystkich stylów — jakie kto woli, do wyboru, komponowały na ścianach całe sceny alegoryczne, tu wsadziły między okna jakiegoś wieszacza, tam znów zamieszczały postać „z pochodnią oświaty”, czy czemś podobnym, która po latach odpadała waląc pierwszego lepszego w leb, lub w najlepszym razie rozpryskując się o bruk. Wprawiała w okna kolorowe szybki, prześcierały się coraz to obszerniejszymi wnętrzami, byle tylko ściągnąć na siebie uwagę.

A ponieważ był to wiek głoszonego demokratyzmu, stawały się przeto odbiciem rzeczywistości, wyrazem stuprocentowej „klasowości”. Architektura listów zastawnych stawiała kamienie o całym szeregu podwórz i oficyn. Im dalsze podwórza, tem niższy stopień społeczny, na szarym końcu oczywiście poddasza, a jeszcze dalej — suteryny. Przeciwwstawieniem ich była główna klatka schodowa, gdzie również obowiązywała ścisła hierarchja: duża różnica dzieliła pierwsze piętro od drugiego, drugie od trzeciego i tak dalej. Kwestja jest nawet, czy bardziej wypadało mieszkać na czwartym piętrze głównej, frontowej klatki schodowej, czy też na pierwszym równie głównej (bo były i boczne) oficyny. Zadanie, którego nie jesteśmy w stanie rozwiązać, bo go nie bardzo rozumiemy. Wiemy tylko, że rozstrzygającą stroną była kwestja szczególnie wówczas rozwiniętego t a k t u, który podobno ułatwiał życie, zastępując wiele trudniejszych i kłopotliwszych zjawisk jakim jest np. szczerość.

Taka gwałtowna produkcja domów musiała być i była brzemienią w następstwa. Wciągała za sobą do miast masy ze wsi dając im zarobek i kusząc pozorami dobrobytu. Powstawały liczne, za liczne warsztaty prześcigające się w wyrabianiu coraz to wyśnionych ozdób. Nie czas było na zastanawianie się nad formą, komponowaniem; wzory ściągano zewsząd, aby tylko najświeższe. Każdego sezonu budowanego nowy krzyk mody. A jak krzyk i że prawdziwy krzyk — to my dopiero dzisiaj możemy powiedzieć.

Wszystko to bierze w dużej mierze swój początek w wynalazku dalekim od sztuki — wykombinowaniu listów zastawnych.

Często się dyskutuje na temat,

czy w tworzeniu architektonicznym przewagę ma duch czy technika. Czy luk nadaje wyraz architektury rzymskiej, czy też jest ona przejawem potęgi imperjum, czy sklepienie i skarpy dały nam gotyk, czy też specjalna konstrukcja wewnętrzna — człowieka średniowiecznego. Na ten sam temat rozprawiano i na wieczorach dyskusyjnych z okazji wystawy architektury francuskiej w Warszawie poruszając jeszcze równie wiecznie aktualne tematy: kwestję istoty nowoczesności i współczesności, wreszcie sądu nad przeszłością będącego niższym, niem, jak odżegnywaniem się od tego eklektyzmu połączonego z zanikiem wszelkiego smaku tak charakterystycznego dla drugiej połowy wieku XIX-go.

Zdawałoby się, że już teraz takie odżegnywanie się niema najmniejszego sensu; wystarczy przecież wziąć dom zbudowany dzisiaj i niekształtne pudło mieszkalne sprzed niewiele lat, ażeby dojść do wniosku i raz na zawsze zamknąć dyskusję na ten temat. Może jednak jest coś, co łączy ładny współczesny dom ze starym straszdem? Spójrzmy — tak się przecież warunki zmieniały! Zamiast nadmiaru pieniędzy, „rozporządzamy” ich brakiem, zamiast szerokiej inicjatywy prywatnej zezwalającej niemal każdemu na wnoszenie rentownych budowli, skoncentrowanie środków budowy w rękach publicznych, które rozporządzają niemi w formie różnego rodzaju funduszy, wnosząc całe bloki mieszkalne. Tu jest, widzimy, źródło nowych założeń, gdy nad architektem ciąży obowiązek oszczędności, nieprzekroczenia ani jednego centymetra sześciennego, stąd płynie konieczność takiego rozwiązania, któreby przy takich nawet ograniczeniach dawało wrażenie jaknajmocniejszego wyrazu — w tem bowiem dążeniu musi

się przecież przejawiać artysta, jego ambicja, a nawet chociażby tylko obecność.

— Ale — buduje się nie dla samej przyjemności i konieczności tworzenia. Buduje się i nie dlatego, ażeby się wyłącznie nacieszyć wynalazkiem np. żelazobetonu. Punktem wyjścia jest i będzie człowiek przypadkowy. Tamta szukała go na ulicy, w każdym przechodniu, przylatując się sztychem rzekomej swej wspaniałości, wabiąc masą zbędnych i wątpliwych ozdób, ta czeka na przydzielenie jej mieszkalna droga takiej czy innej zależności służbowej, otrzymującego ten czy inny numer mieszkania aż do następnej zmiany.

Przeciwstawić się temu może tylko idea własnego domu, najskromniejszego nawet, ale takiego, w którym każda cegła muru wiązałaby się z każdym naszym nerwem, takim, z którym łączyłoby nas nie tylko prawo własności dające możność wyzbycia się go, ale przeciwnie, nie zezwalające na to drogą wewnętrznego nakazu, takiego wreszcie, któremu przekazałibyśmy własną swą osobowość, dbając o każdy kąt, najmniejszy szczegół. Czyż wówczas nie stanie się on nowym źródłem bogatej inwencji i głębokich odkryć?

Ludzie miejscy podśmiewują się, mówiąc, że na wsi dlatego jest dobre powietrze, ponieważ chłopcy nigdy nie otwierają okien, a jednak większa jest przepaść między człowiekiem zamieszkującym duszną chałupę a mieszkańcem równie dusznego pokoju na czwartym piętrze, w lewej oficynie trzeciego podwórza, aniżeli skolei nim a lokatorem współczesnego, ładnego, czystego domu „klatki schodowej E nru 196“...